

NATALIE CAÑA

PROPOZYCJA  
NIE DO  
ODRZUCENIA



NATALIE CAÑA

# PROPOZYCJA NIE DO ODRZUCENIA

PRZEŁOŻYŁA

Magdalena Kowalczuk



TYTUŁ ORYGINAŁU:  
*A Proposal They Can't Refuse*

Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik  
Wydawczyni: Joanna Pawłowska  
Redakcja: Ewa Kosiba  
Korekta: Justyna Techmańska  
Projekt okładki: Łukasz Werpachowski  
Ilustracje na okładce: © Ardea-studio, © Igor / Stock.Adobe.com  
DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2022 by Natalie Caña.  
All rights reserved.

Copyright © 2024 for the Polish edition by Wydawnictwo KobiECE  
Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Magdalena Kowalczuk, 2024

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne  
Białystok 2024  
ISBN 978-83-8371-244-4

Grupa Wydawnictwo KobiECE | [www.WydawnictwoKobiECE.pl](http://www.WydawnictwoKobiECE.pl)



# 1

Kamilah Vega szarpnęła ciężkie szklane drzwi o wiele mocniej, niż było to konieczne, i przestąpiła próg ośrodka. Gwałtowny podmuch wiatru, taki który można spotkać jedynie w Chicago, porwał drzwi i huknął nimi o ścianę. Recepcjonistka aż podskoczyła i spojrzała z dezaprobatą na nowo przybyłą, ale Kamilah ledwo to zauważyła. Jej uwaga momentalnie skupiła się na dwóch ciałach wciśniętych w kanapę przed gabinetem dyrektorki.

Zrobiła wszystko, co mogła, by w jej głosie nie dało się słyszeć złości, ponieważ doskonale wiedziała, jaka byłaby reakcja siedzących przed nią gagatków.

– Co tym razem zmalowaliście?

Zgodnie z przewidywaniami natychmiast usłyszała chórally: „Nic”. Oczywiście było to kłamstwo. Jak zawsze, kiedy ta dwójka jednym głosem zapewniała o swojej niewinności.

Kamilah potarła twarz dłońmi i westchnęła – jak umęczony pracą człowiek o północy po całym dniu harówki, a nie jakby była dopiero ósma trzydzieści rano. Opuściła ręce.

– Nie wydaje wam się, że już czas odpuścić z tymi wybrykami? Masz osiemdziesiąt lat, Abuelo\*.

Kiedy wypomniała mu wiek, dziadek aż się zapowietrzył i rzucił jej gniewne spojrzenie. Jego upstrzone siwizną włosy sterczały na wszystkie strony, przez co przypominał nastroszoną małpkę i wyglądał uroczo mimo nienawistnego spojrzenia.

Jego najlepszy przyjaciel i współlokator nawet w obszarpanych dżinsowych ogrodniczkach i wypłowiałej flanelowej koszuli sprawiał wrażenie bardziej ogarniętego. On również spojrzał na nią krzywo.

– Człowiek jest na tyle stary, na ile się czuje – odparł Killian głębokim głosem z typowym dla siebie irlandzkim akcentem.

– I? To znaczy, że wasza dwójka czuje się na ile? Dwanaście lat?

Zanim zdążyli odpowiedzieć, drzwi do gabinetu się otworzyły, ukazując Marię Lopez-Hermann, dyrektorkę Domu Seniora Casa del Sol.

– Witaj, Kamilah. Cieszę się, że udało ci się dotrzeć tu tak szybko. Pewnie wyrwałam cię z porannych przygotowań w restauracji.

Kamilah nawet nie próbowała wyjaśniać Marii, że wczoraj padła zaraz po zamknięciu, a rano przespala wszystkie budziki i spóźniła się do pracy. Dlatego teraz dzięki dwóm stojącym obok niej chuliganom będzie jeszcze bardziej spóźniona. Jej pracodawcy nie przyjmą żadnych wymówek. Nieważne, że była ich córką. Kamilah nosiła nazwisko Vega i była pracownikiem swoich rodziców, więc najważniejszym priorytetem w jej życiu miała być rodzinna restauracja. Zawsze.

---

\* Dziadek (hiszp.). (Przypisy dotyczące wyrazów i zwrotów z języków hiszpańskiego i irlandzkiego pochodzą od tłumaczki).

Maria wskazała im gestem, by weszli do gabinetu, i cała trójka wtoczyła się do środka. Kamilah celowo pozwoliła, by Abuelo i Killian zajęli dwa fotele naprzeciwko biurka dyrektorki, a sama stanęła za nimi, kładąc każdemu z nich dłoń na ramieniu. Tę samą postawę przyjęła jej Mami\*, kiedy Kamilah z kuzynką Lucy wpadły w tarapaty, bo przez dwa tygodnie nie chodziły na gimnastykę.

Abuelo skrzyżował nogi i wcisnął dłonie pod boki, Killian zaś oparł się swobodnie, szeroko rozłożył nogi i przewiesił ramiona przez niskie oparcie fotela. Kamilah nie pierwszy raz zdumiała się nad ich zdolnością sprawiania wrażenia niewzruszonych, kiedy ona zalewała się potem, choć nic nie robiła.

Maria usiadła za biurkiem, splótła dłonie i ułożyła je na kalendarzu.

– Wydawało mi się, że po ptasiej aferze dałam panom dość jasno do zrozumienia, że jeśli wywiną panowie kolejny numer, zakaz udziału w terapii ze zwierzętami będzie panów najmniejszym zmartwieniem.

Kamilah zamknęła oczy i pokręciła głową. Podobne słowa padły z jej ust, zanim nałożyła na Diaboliczny Duet miesięczny zakaz gry w bingo za to, że zaczęli przyjmować nielegalne zakłady. Przedtem była jeszcze „godzina policyjna”, którą egzekwowała za pośrednictwem ochrony ośrodka po hecy z rozbieranym pokerem.

– Co tym razem zrobili? – zapytała, doskonale zdając sobie sprawę, że to już trzeci albo czwarty raz tego ranka, kiedy zadała to pytanie, a wciąż nie otrzymała odpowiedzi.

– Rano u dwójki naszych podopiecznych zaobserwowaliśmy podwyższone ciśnienie. Trochę powęszyliśmy i odkryliśmy, że

---

\* Mama (hiszp.)

zeszłej nocy panowie Kane i Vega zakradli się do stołówki i podmienili bezkofeinowe ziarna na zawierającą kofeinę mieszankę espresso.

– Dziadku! – krzyknęła Kamilah.

– Nie mają żadnych dowodów, że to my – wtrącił Killian. – Obwiniają nas o wszystko, co się dzieje w tym zapomnianym przez Boga więzieniu.

– Więzieniu? – prychnęła Kamilah. – Wasza dwójka cieszy się większą swobodą niż ktokolwiek w ośrodku.

To była prawda. Dzięki temu, że Abuelo i Killian mogli się pochwalić stosunkowo dobrą kondycją i zdrowiem psychicznym, nie wymagali tyle opieki, co pozostali podopieczni. W ich wypadku ośrodek Casa del Sol przypominał bardziej akademik niż dom opieki dla seniorów. Niestety sytuacji nie poprawiał fakt, że tych dwóch traktowało surowe zasady placówki jak przyjacielskie wskazówki.

– Zostawiając na chwilę pańskie odczucia względem naszego ośrodka – kontynuowała Maria. – Owszem, mamy dowód. Bardzo wyraźne nagrania waszej dwójki z kamer zainstalowanych w stołówce i kuchni.

– *Condenados cámaras*\* – zaklął pod nosem Abuelo.

Killiana martwiło jednak coś innego.

– Słyszałeś, Papo? Wolność – burknął głośno.

– Nie mogę się nawet napić *café con leche*\*\* – dodał Abuelo. – Serwują tu tylko jakieś brązowawe siki i to nazywają kawą.

– To kawa bezkofeinowa z odrobiną mleka kokosowego. Lekarz mówi, że taka jest lepsza dla twojego serca – wytknęła mu Kamilah.

---

\* Przeklęte kamery (hiszp.)

\*\* Kawa z mlekiem (hiszp.)

Doktor powiedział też, że zastoinowa niewydolność serca, na którą cierpi Abuelo, jest w jego przypadku niegroźna, o ile staruszek będzie brać leki, przestrzegać dobrej dla jego serca diety i pozostanie w miarę aktywny. Oczywiście dziadek wcale go nie słuchał.

Jakby tylko czekał na odpowiedni znak, Abuelo wydał z siebie lekceważący pomruk.

– *Ese doctor no sabe na'. Cuando me duele el pecho, me pongo un poco de Vaporú y ya\**.

Kamilah zacisnęła zęby – choć bardziej ze względu na insynuację, że doktor nie zna się na swojej pracy, niż pochwałę cudownych właściwości maści VapoRub Vicksa. Wszyscy Latynosi wiedzą, że Vaporú to doskonały lek na wszystko: od zwykłego przeziębienia po złamane serce.

Abuelo rzucił dyrektorze ośrodka rozdrażnione spojrzenie.

– A tak w ogóle, to kiedy zaczniecie podawać *carne frita con mofongo*\*\*? Mam po dziurki w nosie tych warzyw na parze. Co ja królik? – kontynuował, ponieważ ewidentnie się rozkręcił.

Maria pochyliła się do przodu.

– Panie Vega, jeśli jest pan niezadowolony z pobytu w Casa del Sol, może pan znaleźć sobie inną placówkę.

Kamilah zareagowała, zanim jej uparty dziadek zdołał przekreślić jedną z najlepszych rzeczy, jaką miał teraz w swoim życiu.

– Mario, czy mogłabym porozmawiać chwilę z tą dwójką na osobności, zanim zapadnie wyrok?

Przyzwyczajona do popisów staruszków, dyrektorka skinęła głową i wyszła z biura.

---

\* Ten lekarz się nie zna. Kiedy kłuje mnie w piersi, smaruje się Vaporú i przechodzi (hiszp.)

\*\* Smażone mięso z purée z plantanów (hiszp.)

Kamilah kucnęła pomiędzy fotelami i poczekała, aż obaj mężczyźni na nią spojrzą.

– Musicie przestać – powiedziała swoim rozsądnym tonem. Położyła dłonie na ich dłoniach. – Nie mam czasu na wasze cotygodniowe zagrywki i zmyłki, jakbyście należeli do *Klanu urwisów*. Nie mogę co chwilę tu przyjeżdżać, aby się upewnić, że was nie wywalą.

Abuelo odwrócił głowę.

– Nikt cię nie prosił, żebyś tu przyjeżdżała i robiła za naszą mamuszkę.

– Jesteśmy dorośli. – Killian pokiwał głową.

– Gówno prawda – zadrwił czyjś cholernie głęboki głos zdecydowanie zbyt blisko, zaskakując Kamilah dokładnie w momencie, kiedy zdała sobie sprawę, że ktoś za nią stoi.

Jako dziewczyna dorastająca w zachodniej części Chicago i siostra czterech wkurzających starszych braci, wiedziała, że najlepiej od razu atakować, a potem zadawać pytania.

– Po moim trupie – rzuciła głosem Suki-Z-Którą-Się-Nie-Zadziera i obróciła się wciąż w kuckach, dzięki czemu wyglądała jak sławny chicagowski mistrz wagi ciężkiej Ernie Terrell, po czym zamachnęła się na krocze niedoszłego napastnika.

W chwili, kiedy jej pięść dosięgła tego niezwykle wrażliwego obszaru męskiej anatomii, a ona sama usłyszała przepełnione bólem „kurwa”, wiedziała, że popełniła poważny błąd.

„O Boże, nie. Tylko nie on. Błagam, niech to nie będzie on”.

Tymczasem Tirli Bom i Tirli Bim\* wybuchli śmiechem przywodzącym na myśl oszalałe hieny.

---

\* *Bliźniacy z Alicji w Krainie Czarów*, cechuje ich spontaniczność i niemyślenie o konsekwencjach, są do siebie bardzo przywiązani (przyp. red.)

Mężczyzna upadł na kolana i Kamilah nagle znalazła się twarzą w twarz z jedyną osobą, której nie chciała tu zobaczyć.

Rosły, barczysty i ponury wnuk Killiana wcale nie przypominał dziadka. Killian miał okrągłą twarz i szeroki, lekko haczykowaty nos, a Liam wyglądał jak żywcem wyjęty z książek typu „zwiąż mnie i daj mi klapsa, byczku”, które namiętnie czytała jej bratowa. Miał ostre rysy podkreślone ciemnym zarostem, surowe usta i chłodne spojrzenie.

– Co jest z tobą nie tak? – sapnął. – Nie możesz tak po prostu walić ludzi po jajach.

„Hieny” zaśmiały się jeszcze głośniejsze.

Kamilah rozdziawiła usta.

– Co ze mną nie tak? – zapytała, niedowierzając. – A z tobą? Czemu zaszedłeś mnie od tyłu? Nie możesz się tak zakradać do kobiet i oczekiwać, że nie powita cię cios w krocze. Szczególnie do tych, które dorastały w tak szemranej okolicy jak Humboldt Park.

Zmrużył skryte pod ciemnymi brwiami oczy w kolorze francuskiego błękitu. Rozchylił nozdrza i wziął głęboki wdech. Co w języku Liama znaczyło „najchętniej bym cię teraz ochrzanił, ale nie będę w to wchodzić”.

Kamilah widziała to już nieraz. Nieważne. On też ją wkurzył.

– Ona ma rację, chłopcze – powiedział Killian wciąż rozba-wionym głosem. – Należał ci się ten kuks w siurka.

Podniósł się i postawił wnuka na nogi. Kamilah znowu miała przed sobą krocze Liama. Wstała szybko i odwróciła się od niego zaczerwieniona z zażenowania. Złapała wzrok Abuela.

Staruszek uniósł brwi.

– *Nena\**, nie przeprosisz?

---

\* Skarbie (hisp.)

– Ja? Mam przepraszać jego? – Kamilah parsknęła pełnym niedowierzania śmiechem. – To on powinien przeprosić za to, że się zakradł i mnie przestraszył.

– Nie zakradł się, drzwi były otwarte.

Nie odpowiedziała. Powinna wziąć na siebie przynajmniej część winy i przeprosić, ale honor jej nie pozwalał. Duma to jedyne, co broniło ją przed Liamem. Nie mogła odpuścić w tym momencie.

Liam gapił się na nich beznamieennie. Ostatecznie całkowicie zignorował jej uwagi.

– Dziadziu, co tym razem nawywijasz?

Kamilah nienawidziła tego, że potraktował ją jak powietrze.

Killian otworzył usta, ale Liam go uprzedził:

– Tylko nie mów, że nic, już ja cię znam.

Zanim Killian zdążył wymyślić jakąś historyjkę, Maria wróciła do gabinetu.

– Wyrzucili całą bezkofeinową kawę i podmienili ją na espresso Bustelo.

– Co, u licha, dziadku? Serio masz zamiar dać się stąd wywalić za głupią kawę?

– Nie chodzi o kawę, a o zasady – odparował Killian, zadzierając brodę.

Liam machnął rękoma i jęknął z irytacją.

– Jakie zasady? Te, dzięki którym ludzie, którym płacisz za to, żeby się tobą opiekowali, faktycznie się tobą opiekują?

Killian skrzyżował ramiona.

– Nie rozumiesz, bo jesteś młody.

– Nie rozumiem, bo to bzdura. Dziadziu, dokąd zamierzasz pójść, jeśli cię wywalą? Sprzedałeś dom, żeby przeprowadzić się tu z Papo.

Na wspomnienie domu, w którym mieszkał z miłością swojego życia, Killianowi zrzedła mina. To był wymarzony dom jego żony i Kamilah podejrzewała, że tak naprawdę nie był gotowy go sprzedać.

– Nie będziesz mógł się zatrzymać u mnie.

Tego było za wiele. Co prawda Kamilah nie podobały się te wszystkie numery, które wykręcali, ale Liam nie miał prawa mówić tak do swojego dziadka. Nie po tym wszystkim, co Killian dla niego zrobił.

– Boże broń, żeby Super Pustelnik Liam miał wpuścić kogoś do swojej jaskini.

Odwrócił się do niej.

– Co proszę?

– Mówię tylko, że jeśli faktycznie zostaną poproszeni o opuszczenie ośrodka, nie zabiłoby cię, gdybyś pozwolił dziadkowi zamieszkać u siebie. Od tego jest rodzina.

– Chodziło mi o to, że nie dałby rady ze schodami, ale podejrzewam, że jako blisko trzydziestoletnia kobieta mieszkająca z rodzicami wiesz, o czym mówisz.

Kamilah się skrzywiła. Nie musiał tak wywlekać jej sytuacji mieszkaniowej.

– Ciekawe, nie? Dla nas to nic wielkiego, bo nie jestem marudą z nosem wiecznie spuszczoneym na kwintę, której obecności nie da się znieść.

Liam spojrzał na nią spode łba.

– Nie musisz gdzieś być? Psuć komuś innemu dnia?

„Cham”. Puls jej przyspieszył.

– Normalnie tak, ale skoro już zaczęłam od ciebie, mogę skreślić to z listy zadań, a nie ma jeszcze nawet dziesiątej. Dzięki wielkie. – Uśmiechnęła się słodko na koniec.

– Cieszę się, że mogłem pomóc.

– Może wynajmiecie sobie jakiś pokój, hę? – zaproponował Killian.

Liam posłał dziadkowi lodowate spojrzenie, a Kamilah prychnęła z niesmakiem.

– Co? – Killian wzruszył ramionami. – Kłóćcie się jak stare dobre małżeństwo.

– Tak. – Abuelo dorzucił swoje trzy grosze. – Moglibyście po prostu już się chajtnąć.

Zapadła cisza, a po chwili w oczach obu seniorów zapłonęła ta sama psotna iskierka. Z pewnością identyczna doprowadziła ich wszystkich do obecnej sytuacji.

– Wiecie co? Wróćmy do tematu, z powodu którego się tu zebrałiśmy. – Kamilah odwróciła się w stronę Marii. – Może tego nie wiadać, ale wiem, że Abuelo i Killian żałują, iż narazili pensjonariuszy na niebezpieczeństwo, i następnym razem poważnie się zastanowią nad konsekwencjami, zanim zrobią coś równie idiotycznego.

Dyrektorka westchnęła, jakby była zmęczona życiem, podobnie jak Kamilah wcześniej. Przewróciła oczami, kręcąc głową, ponieważ obie wiedziały, że dziewczyna wciska jej kit.

– Przez dwa tygodnie nie mogą korzystać ze stołówki. Dostarczymy zapakowane w torby posiłki do ich pokoju albo rodziny będą się musiały zatroszczyć o jedzenie.

– To ma być kara? – zapytał Abuelo. – Przy tym, co tutaj serwują, to raczej nagro...

Kamilah zasłoniła mu usta ręką.

– Bardzo sprawiedliwie. – Ale w myślach już klęła na czym świat stoi, bo doskonale wiedziała, że to ona będzie musiała zadbać o te posiłki, a nie miała na to czasu. – Upewnię się, że nie pomrą z głodu.

Czuła pod palcami, że usta Abuela wykrzywają się w uśmiechu, zobaczyła też pełen samozadowolenia uśmiech Killiana.

– Nie cieszcie się tak – ostrzegła. – Myślicie, że wyświadczyli wam przysługę? Zobaczycie, co dla was przygotuję. Kiedy z wami skończę, będziecie żałować, że faktycznie nie macie pod ręką żarcia dla królików.

Byli całkowicie niewzruszeni jej groźbami. Pewnie dlatego, iż doskonale wiedzieli, że Kamilah jest jak *crème brûlée* – pod kruchą skorupką krył się sam budyń.

Niczym echo jej myśli Liam zadrwił:

– Że niby nie będziesz im robić dwudaniowych obiadków z deserem.

Kamilah się powstrzymała i nie pokazała mu języka jak sześciolatka. Zamiast tego tylko go zignorowała.

– Muszę jechać do pracy, ale na Boga, błagam, zachowujcie się – poprosiła duet wykolejeńców.

Była prawie pewna, że usłyszała, jak Killian mamrocze: „Niczego nie obiecujemy”.

\* \* \*

Zaledwie kilka minut później Kamilah była już w najbardziej odmienionej części Humboldt Park: w okolicy otaczającej The 606. Przebiegła starej trasy kolei nadziemnej przemienionej niedawno na deptak – oficjalnie znany jako Bloomingdale Trail – wyzierały pomiędzy historycznych domów i nowoczesnych bloków. Kamilah nie mogła nie skrzywić się na ten widok, bez względu na to, jak piękny by nie był. Szlak w całości został starannie zaprojektowany przez organizacje publiczne i non profit, ale nieruchomości otaczające nową atrakcję zostawiono na pastwę

rynku. Nie było żadnym zaskoczeniem, że ceny w okolicy zaczęły rosnąć, przez co wieloletni mieszkańcy nie byli w stanie opłacić czynszu i podatków. Od tej pory jej wujek Rico, radny miejski, i inni aktywiści zaczęli walkę o wprowadzenie regulacji, które miały złagodzić postępującą gentryfikację dzielnicy, ale dla wielu mieszkańców było już za późno.

Dla Kamilah problemem nie byli sprowadzający się w te okolice ludzie, szczególnie że wraz z nimi pojawiły się nowe okazje biznesowe i napływ gotówki. Jej zdaniem problem polegał na tym, że większość dawnych mieszkańców nie mogła skorzystać z okazji i możliwości finansowych, które nadeszły wraz ze zmianami.

Zatrzymała się na czerwonym świetle i potrząsnęła głową, aby pozbyć się natrętnych myśli. Kątem oka zauważyła coś, co przykuło jej uwagę. Potrzebowała kilku sekund, by się zorientować, o co chodzi. Wciągnęła gwałtownie powietrze. Podświetlany znak La Isla, lokalnej portorykańskiej restauracji, przypominającej jej własną, znikł. Drewniany napis przed budynkiem głosił teraz „Swig”; pojawiło się też patio, którego tam wcześniej nie było. Wiedziała, że właściciele, rodzina Rivera, mieli pewne trudności z opłaceniem czynszu, ale... La Isla? Zamknięta?

Kamilah zwolniła i zatrzymała się przed lokalem. Technicznie rzecz biorąc, nie można było tam parkować, ale nie zamierzała zabawić za długo. Chciała się tylko rozejrzeć. Jeden ruch palcem i światła awaryjne zaczęły mrugać. Odpięła pas i pochyliła się nad deską rozdzielczą.

Na potykaczu wypisano kredą listę dań tygodnia. Choć ona sama uznaby wszystkie pozycje za współczesną kuchnię amerykańską, jej mama określiłaby je pewnie jako jedzenie dla burżuów, a pozostali dla hipsterów. Jej uwagę zwróciła przyczepiona

u góry ulotka. Kamilah oparła dłonie na desce rozdzielczej i skrzyła się tak, że kolanem dotykała siedzenia. Zbliżyła się do szyby.

*Ta restauracja jest jednym z przystanków na trasie  
trzeciego corocznego Jesiennego Festiwalu Kulinarnego.  
Dołączcie do nas w weekendy, odwiedzimy wszystkie  
najlepsze restauracje w Humboldt Park.*

Kamilah prychnęła. Najlepsze restauracje, jak z koziej dupy trąba. Nie trzeba być geniuszem, by się domyślić, że na rozpisce nie znalazła się ani jedna prawdziwie lokalna knajpa. Zawsze to samo. Od razu było jasne, że to wydarzenie zostało zorganizowane z myślą o tych rzekomo cywilizowanych najeźdźcach, aby mogli się poklepać wzajemnie po plecach za oświecenie rzeszy ignorantów i pokazanie im, czym jest klasa. Biała zuchwałość, jak powiedziałyby jej najlepsza przyjaciółka Sofi.

Wzrok dziewczyny powędrował ku znajdującemu się na patiu wysokiemu blondynowi w fartuchu szefa kuchni. Chodził od stolika do stolika, witał wszystkich gości i z każdym rozmawiał chwilę. Coś w jego postawie przywodziło jej na myśl...

– Nie. – Walnęła dłonią w deskę.

Niemożliwe. Chase ponoć siedział w Los Angeles, został tam po wygranej w *American Chef Battle*. Samolubny zdradziecki dupek.

Kamilah pochyliła się jeszcze bardziej, aby lepiej mu się przyjrzeć. Niemalże przykleiła twarz do okna od strony pasażera. Mężczyzna odchylił głowę i zaśmiał się.

To był on.

– Jebany...! – Krzyk urwał się, kiedy jej spocona dłoń ześlizgnęła się z wytartego skórzanego siedzenia pasażera, przez co Kamilah prawie upadła na podłogę.

Wykręciła kolano, kopnęła w kierownicę i niechcący uderzyła w klakson. Klakson, który brzmiał jak stado chorowitych osłów, a do tego lubił się zacinać. Jej toyota corolla rocznik dwa tysiące trzeci, którą nazywała Doña, aby wydawała się bardziej dystyngowaną starszą damą, była zwyczajnie stara i cholernie zdezelowana.

Nagły hałas sprawił, że Chase i wszyscy na patiu się odwrócili, ale Kamilah ich zignorowała. A to dlatego, że pieprzony klakson nadal trąbił. Miotła się jak spanikowana foka na plaży, aż w końcu usiadła z powrotem w fotelu. Uderzyła pięścią w kierownicę, ale udało jej się jedynie stworzyć klubowy remiks z samochodowym klaksonem. W końcu ryk osłów ucichł i została tylko jedna oślica.

Oślica, która obróciła głowę i spotkała wzrokiem spojrzenie swojego eksnarzeczonego.

Usta zdumionego i totalnie skołowanego Chase'a ułożyły się w litery jej imienia. Zrobił kilka kroków w jej stronę.

– Cholera. – Kamilah wrzuciła wsteczny i ruszyła, nie tracąc czasu.

Zaczęła się kręcić po okolicy. Po tym wszystkim, co Chase, ten urodzony i wychowany w Forest Glen cymbał, nagadał się na temat Humboldt Park – a konkretnie, że to wylęgarnia gangusów, która kiedyś ją wykończy – teraz otworzył restaurację niecałe cztery kilometry od niej? Jak on śmiał?

Humboldt Park jest jej.

Kamilah spięła się jeszcze bardziej, kiedy skręciła w Division Street i zobaczyła kolejną zaprzyjaźnioną knajpkę z zabitymi oknami.

Division Street, szczególnie między Western i California Avenue, była sercem portorykańskiej społeczności Humboldt Park.

W okresie świetności ta okolica wglądała niemal jak dzielnice, które można zobaczyć na wyspie. Wiele budynków naśladowało hiszpański kolonialny styl z Viejo San Juan. Za oknami jej samochodów rozmywały się kolorowe murale, hołd dla ich kultury. Przedstawiały galerię wybitnych Portorykańczyków. Uśmiechnęła się, mijając biura miejscowych portorykańskich polityków, a także witryny galerii sztuki i szkół tańca.

A teraz? Teraz wszystko się zmieniało. Zmarszczyła brwi.

Paseo Boricua wciąż stanowiło mikrokosmos chicagowskiej społeczności Portorykańczyków, ale zaczęły się w nim pojawiać szczeliny i rysy, zupełnie jak na antycznym portrecie namalowanym na porcelanowym naszyjniku. Przy alei wciąż można było dostrzec przejawy portorykańskiej dumy, lecz ulica nie była już tak głośna i pełna życia jak niegdyś.

Gardło jej się zacisnęło, kiedy zbliżała się do miejsca pracy, do rodziny i ich restauracyjki.

Gdy jej dziadkowie ją otworzyli, El Coquí idealnie wpasowało się w okolicę. Zaglądali do nich Portorykańczycy z całego Chicago, ponieważ nikt nie gotował ich dań lepiej niż Abuela\* Rosa Luz. I nikt nie zapewniał gościom takiej rozrywki jak Abuelo Papo ze swoim zespołem grającym salsę, Los Rumberos.

Ale stali bywalcy się wykruszyli. El Coquí stopniowo pustoszało, aż nie było nikogo. Jak w ostatniej scenie jej ulubionego filmu *Amatorzy sportu*, w której grające w baseball dzieciaki znikają jeden po drugim, aż na boisku zostaje sam Benny „The Jet” Rodriguez, wciąż biegający od bazy do bazy. Robił swoje.

Jak jej rodzina.

Wciąż na miejscu. Robiła swoje.

---

\* Babcia (hiszp.)



*Sięgnij po  
więcej!*



[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)



[kobiece](https://www.facebook.com/kobiece)



[wydawnictwo.kobiece](https://www.instagram.com/wydawnictwo.kobiece)